

Zapiski z połowu dusz

Mam jeden nie najgorszy aparat fotograficzny. Oczywiście kiedy mówię „nie najgorszy”, porównuję go z tymi pudełkami, którymi zwykli ludzie robią zdjęcia dla zabawy.

Kiedy się go założy na plecy, aparat ten bardzo przyciąga ludzką uwagę, dlatego gdy mieszkałam kiedyś w Madrycie, rzadko go używałam.

Na pustyni nie przyciągam ludzkiej uwagi. Nie mówiąc już o tym, że kiedy zapragnę kogoś zobaczyć na tym najskąpiej zaludnionym obszarze świata, to stojąc na pustyni i przysłaniając sobie ręką rażące słońce, spoglądam w dal; jeśli uda mi się wtedy dojrzeć na linii horyzontu małą jak kropeczka czarną sylwetkę człowieka, już jestem szczęśliwa.

Gdy po raz pierwszy przyjechałam na pustynię, jedną z moich największych ambicji było sfotografowanie życia koczowników gdzieś na dzikim pustkowiu.

Moje zamiłowanie do kultury innych ludów bierze się z ogromnej różnicy, jaka mnie od nich dzieli; różnicy, która mnie wzrusza i zachwyca.

Zapuszczając się często na głęboką pustynię, jeszcze zanim wyszłam za mąż, wykorzystując wszelkie dostępne mi środki komunikacji, wyprawiałam się na tę tajemniczą i bezkresną ziemię, aby poznać każdy jej aspekt, a co ważniejsze, aby się dowiedzieć, dlaczego na tej jałowej przestrzeni, gdzie ani źdźbło trawy nie rośnie, ludzie tak samo doświadczają smutków i radości życia, tak samo kochają i nienawidzą.

Gdy mieszkałam na pustyni, fotografowanie było dla mnie szalenie istotne. Moje ówczesne możliwości finansowe pozwalały mi na zaopatrzenie się w żywność i wodę niezbędne podczas wędrowki przez burze piaskowe, ale na wypożyczenie samochodu już mnie stać nie było. Nie mogłam też wydawać zbyt dużo pieniędzy na taki luksus jak robienie zdjęć, chociaż inwestowanie w fotografię było rzeczą bardzo ważną i wartą zachodu.

Jeśli chodzi o sprzęt fotograficzny, można powiedzieć, że oprócz aparatu, trójnogu, obiektywu dalekiego zasięgu, obiektywu szerokokątnego i kilku filtrów nie miałam zbyt wielu rzeczy. Kupiłam kilka filmów o wysokiej czułości, a reszta to zwyczajne filmy czarno-białe i kolorowe. Lampy błyskowej nie umiałam zbyt dobrze obsługiwać, więc w ogóle jej nie montowałam.

Zanim przyjechałam na pustynię, udawało mi się czasem zrobić dwa dobre zdjęcia na kilkaset wypstrykanych klitek. Kupiłam sobie w Madrycie podręcznik do fotografii i naprędce przeczytałam kilka stron. Uzbrojona w książkową wiedzę i pełne niepowodzeń doświadczenie przyjechałam do Afryki Północnej, nie oczekując cudów.

Gdy po raz pierwszy wwieziono mnie na wielką pustynię, byłam tak zachwycona, że trzymając aparat w ręku, chciałam fotografować wszystko dookoła.

Ułudne, wyśnione, upiorne fatamorgany; ciągnące się w dal zasy pyłkowe, gładkie i miękkie jak kobiece torsy; burze piaskowe, bijące po twarzy jak ulewa; spieczona ziemia; wyciągające ku niebu swe ramiona i zawodzące, krzyczące kaktusy; koryto uschłej milion lat temu rzeki; czarne łańcuchy górskie; porażająco błękitne i bezkresne niebo; pokryte kamieniami pustkowia — te wszystkie widoki przyprawiły mnie o zawrót głowy, pożerałam je oczami.

Na pustyni doznawałam często takiego szoku, że podczas tej wstrząsającej wędrówki zapominałam o własnych trudach.

Jakże ja wtedy nienawidziłam swoich ułomności. Gdybym tylko zawczasu przyłożyła się solidnie do nauki fotografii, mogłabym te wszystkie otaczające mnie zdumiewające widoki połączyć z własnymi wzruszeniami i utrwalić, a stałyby się wtedy one jakże cennymi pamiątkami etapów mego życia.

Chociaż nie miałam za dużo pieniędzy na zdjęcia, a wrzynające się w skórę burze piaskowe z łatwością mogłyby uszkodzić aparat, udało mi się w granicach możliwości wykonać kilka zdjęć, które należy uznać za szkoleniowe.

Co się zaś tyczy ludów żyjących na tej pustyni, to nieważne, czy to ich sposób chodzenia, zwyczaje spożywania posiłków, kolory i fasony ubrań, gesty, język, małżeństwo, czy religia i wierzenia — zajmowało mnie wszystko. Co więcej, uwielbiałam przyglądać się im z bliska i dokładnie obserwować, żeby zaspokoić swoją bezgraniczną ciekawość.

Fotografując największą pustynię świata, przy moich ograniczonych możliwościach nie byłam w stanie osiągnąć takiego poziomu, jakiego oczekiwałam. Po kilku wyprawach dotarło do mnie, że mogę się co najwyżej skupić na kilku szczegółach i nimi się zająć. Nie można się podejmować ogromnego zadania, nie biorąc pod uwagę własnych możliwości.

— Fotografujmy ludzi. Ludzie mi się podobają — powiedziałam do Joségo.

Kiedy jechałam na wyprawę cysterną rozwożącą wodę, José nie zabierał się ze mną. Ruszałam bez niego w towarzystwie Baszima — Sahrawi, na którym można było polegać, a którego poznałam dzięki swoim kontaktom — i jego pomocnika. Przemierzaliśmy obszar niemal od brzegów Atlantyku po granicę Algierii, a następnie jechaliśmy w dół i zataczając kółko, wracaliśmy. Ponad dwa tysiące kilometrów za każdym razem.

Zawsze, gdy dojeżdżaliśmy do skupiska namiotów, Baszim sprzedawał im wcześniej już przyszykowane kilkadziesiąt kanistrów wody.

Smażenie się w słońcu przez kilka tysięcy kilometrów w tym zdezelowanym samochodzie bez dachu i przedniej szyby było naprawdę wielkim wyzwaniem i obciążeniem dla organizmu. José pozwolił mi jechać. Z wdzięczności za poważanie i zaufanie, jakim mnie obdarzył, podczas wyprawy nie popełniałam wielu błędów i po kilku dniach podróży zawsze wracałam bezpiecznie do miasta.

Gdy pierwszy raz pojechałam na pustynię, miałam ze sobą jedynie plecak i namiot. Nie wzięłam niczego, na co koczownicy czekają. W zamian nie okazali mi też wcale przyjaźni. Za drugim razem wiedziałam już, jak ważne jest znachorstwo, wzięłam więc ze sobą małą apteczkę. Zrozumiałam też, że nawet na pustynnych rubieżach są kobiety, które lubią być piękne, i dzieci, które lubią jeść. Kupiłam zatem wiele pięknych szklanych wisiorków, tanich pierścionków, kupiłam nawet mnóstwo odblasków, wytrzymałą żyłkę wędkarską, cukier, mleko w proszku i słodycze.

Gdy tak wiozłam te wszystkie rzeczy na pustynię, ogarnął mnie wstyd, że oto zamierzam zdobyć sobie przyjaźń w zamian za dobra materialne. Ale czyż nie chciałam od nich tylko, aby pozwolili mi się do siebie zbliżyć, żebyśmy mogła ich zrozumieć? W zamian chcę od nich tylko przyjaźni i przychylności. Moje prezenty będą dla nich dowodem

moich dobrych intencji. Łatwiej im wtedy będzie zaakceptować tę obcą niczym z innej planety kobietę.

Chociaż namioty koczowników tworzą zwarte obozowiska, to jednak są dość znacznie rozsunięte. Tylko wielbłądy i kozy schodzą się razem i w grupkach obgryzają mizerne listki małych uschłych krzewów, żeby utrzymać się przy życiu.

Gdy cysterna z wodą zatrzymywała się przy którymś z namiotów, ja natychmiast zeskakiwałam z auta i wchodziłam do tego namiotu.

Ci mili, ale i niesamowicie strachliwi ludzie, widząc tak obcą im osobę jak ja, uciekali w popłochu.

Za każdym razem, gdy doprowadzałam niechybnie do takiego exodusu, Baszim donośnym głosem zwoływał ich natychmiast jak stado kóz, żeby wrócili i stanęli przed nami na baczność. Mężczyźni nawet podchodzili, ale kobiety i małe dzieci raczej nie dawały mi się do siebie zbliżyć.

Nigdy nie pozwalałam Baszimowi zmuszać nikogo, żeby do mnie podszedł. Tego nie mogłabym chyba znieść.

— Nie bójcie się. Nie zrobię wam krzywdy. No, chodźcie, nie bójcie się.

Dobrze wiedziałam, że ci ludzie mogą nie rozumieć ani słowa po hiszpańsku. Wiedziałam jednak też, że moja intonacja ich uspokoi. Może nie zrozumieją, co do nich mówię, ale wystarczy, że będę mówiła spokojnie, a przestaną się bać.

— Podejdz, dam ci perły. Masz.

Zawiesiłam dziewczynce na szyi piękny sznur pereł, po czym pociągnęłam ją do siebie i pogłaskałam po głowie.

Kiedy rozdałam już prawie wszystkie prezenty, zaczęłam leczyć. Z chorób skóry leczyłam, smarując skórę maścią przeciwzapalną; na ból głowy dawałam aspirynę; w przypadku zapalenia spojówek aplikowałam krople do oczu; osobom wychudzonym podawałam witaminy o wysokim stężeniu; a co ważniejsze, dawałam im duże ilości witaminy C.

Gdy przybywałam do nowego miejsca, sumienie nie pozwalało mi wyjąć aparatu i od razu robić zdjęć wszystkim dookoła bez wcześniejszego zapoznania się z miejscową ludnością. Uważam, że byłoby to wyrazem braku szacunku.

Pewnego dnia przyszła do mnie kobieta, twierdząc, że boli ją głowa. Zaaplikowałam jej aspirynę, a na szyi zawiesiłam jej pod hidżabem

klucz jako ozdobę. W niespełna pięć sekund po tym, jak połknęła tabletkę, kiwnęła głową, dając znać, że już jej nie boli, po czym wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego namiotu.

Chcąc okazać swą wdzięczność, ochryplym głosem zwołała gromadkę kobiet. Wszystkie miały zakryte twarze. Były to zapewne jej synowe i córki.

Kobiety miały bardzo intensywny zapach. Od stóp do głów owinięte były w czarne sukno. Dałam im znać ruchem ręki, żeby odsłoniły twarze. Dwie z nich nieśmiało pokazały swoje bladobrazowe policzki.

Na każdej z dwóch pięknych twarzy widniały duże oczy, wyraz zagubienia oraz tajemnicze i ponętne usta. Byłam tak zauroczona ich widokiem, że nie mogłam się powstrzymać i wyjęłam aparat, żeby zrobić im zdjęcie.

Myślę, że te kobiety nie tylko nie widziały nigdy aparatu fotograficznego, ale i nikogo z Chin też nigdy nie miały okazji zobaczyć, musiały więc być pod wielkim wrażeniem jednego i drugiego. Stały przede mną w całkowitym bezruchu, dając się sfotografować.

Nagle do namiotu wszedł jakiś mężczyzna należący do tej rodziny i widząc, co robię, wrzasnął i rzucił się w naszą stronę.

Wrzeszczał i skakał, niemalże kopiąc starszą kobietę, po czym bluzgając, wcisnął się w grupkę kobiet, które słysząc jego gniewne słowa, rozplakały się ze strachu i zwinęły w kłębki.

— Ty wzięła ich dusze — odrzekł łamanym hiszpańskim — teraz będą umrzeć.

— Co takiego zrobiłam?

Zdziwiłam się okrutnie, słysząc te oszczerstwa.

— Ty ta kobieta, co leczy choroby i łapie duchy. Tutaj do tego łapie — powiedział ostrym tonem, wskazując na mój aparat fotograficzny i paląc się do rękoczynów.

Gdy zdałam sobie sprawę, że atmosfera robi się gęsta, trzymając kurczowo aparat, wybiegłam na zewnątrz. Pobiegłam w stronę samochodu, by zawołać mojego obrońcę Baszima.

Baszim właśnie niósł wodę, kiedy zobaczył, co się dzieje. Natychmiast zatrzymał goniącego mnie mężczyznę, ale wkoło zbiegł się już podekscytowany tłum.

Wiedziałam, że pozwoliliby mi ująć cało i sucho z tej opresji z aparatem w rękę, gdybyśmy odmówili im wody, wezwali Korpus Pustynny

lub wystraszyli ich jakimś jeszcze silniejszym zakłębciem. Z drugiej strony jednak ten tłum uważał, że one „straciły swoje dusze”; czyż nie mają prawa żądać ode mnie, abym zwróciła im dusze, które z nich wyfotografowałam?

Jeślibym teraz odjechała autem ze zdjęciami, które zrobiłam, to rana, jaką zostawiłabym w sercach tych kobiet, byłaby ogromna. Płakałyby po cichu, myśląc, że niedługo umrą.

— Baszim, nie ma co się siłować. Powiedz im, że ich dusze naprawdę są w tym pudełku. Zaraz je wyciągnę i im oddam. Nie mają się czego bać.

— Proszę pani, oni plotą głupoty! To ignoranci. Nie ma co się nimi przejmować.

Baszim mówił z pogardą w głosie, co budziło we mnie odrazę.

— No już. Poszli stąd!

Baszim machnął rękawem, a ludzie niechętnie odstąpili trochę od nas.

Kobiety, którym zabrałam duszę, widząc, że nasz samochód zaraz odjedzie, natychmiast kucnęły, blade jak ściana. Poklepałam Baszima po ramieniu, mówiąc mu, żeby jeszcze nie ruszał.

— Teraz wypuszczam dusze — powiedziałam do tych ludzi — nie musicie się niczego obawiać.

Na oczach tłumu otworzyłam aparat i wyjęłam kliszę jak zająca z kapelusza, zeskoczyłam z samochodu, by pokazać im pod światło, że klisza jest pusta i nie ma na niej żadnej ludzkiej sylwetki. Gdy to zobaczyli, odetchnęli z ulgą. Zanim odjechalśmy, ludzie uśmiechnęli się zadowoleni.

W drodze Baszim i ja, śmiejąc się, założyliśmy nowy film. Wzdychając, spojrzałam na siedzących obok mnie dwóch starsuszków Sahrawi.

— Kiedyś było takie coś, co jak błysnęło na człowieka, to wysysało duszę do czysta. To było o wiele potężniejsze od tego pudełka! — powiedział jeden ze starsuszków.

— Baszim, o czym oni mówią? — spytałam, kryjąc się przed wiatrem za plecami Baszima.

Gdy Baszim wyjaśnił mi, o co chodzi, nie odezwałam się, tylko wyciągnęłam z plecaka małe lusterko i ostrożnie pokazałam je starsuszkom. Na ten widok wrzasnęli głośno, o mało nie spadając z auta,

po czym zaczęli walić Baszima po plecach, każąc mu stanąć. Baszim wyhamował, a oni zeskoczyli z auta, prawie się przy tym wywracając. Wystraszyli mnie nieprzeciętnie. Podniosłam głowę, żeby przyrzeć się jeszcze raz samochodowi Baszima i... rzeczywiście — nie miał lusterek.

Materialne zdobycze cywilizacji nie są ludziom niezbędne, ale żeby na tej samej ziemi, na której wszyscy razem żyjemy, byli jeszcze ludzie, którzy nie widzieli lusterka, to naprawdę zdumiewające. Żał mi się zrobiło, że są tacy nieobcyi. Czy ta ich niewiedza bierze się z ograniczeń geografii i środowiska, czy powoduje ją jakiś czynnik ludzki? Od dawna nie znajduję na to pytanie odpowiedzi.

Następnym razem wzięłam ze sobą na pustynię średniej wielkości lustro. Zsiadłam z samochodu, wyciągnęłam tę błyszczącą tafelę szkła i podparłam ją kamieniami. Wszyscy z przerażeniem zwracali na nią baczną uwagę i nie przejmowali się już dłużej moim aparatem fotograficznym, bo prawdziwie groźnym pochłaniaczem dusz było teraz lustro.

Takie ogłupianie ludu, żebym mogła robić zdjęcia, nie było zachowaniem szczególnie nobliwym, dlatego też często kucałam przed lustrem, czesząc włosy, wycierając twarz czy też przyglądając się sobie samej, po czym odchodziłam jak gdyby nigdy nic. Pokazałam wszystkim, że ani trochę nie boję się lustra, toteż z czasem zaczęły do niego podchodzić dzieci. Przebiegały przed lustrem i widząc, że nic się nie wydarzyło, przebiegały jeszcze raz i jeszcze. W końcu zebrała się wokół lustra spora grupka Sahrawi wydających z siebie dziwne dźwięki. Tak oto zakończyło się łapanie dusz.

Po ślubie z Josém nie tylko ja stałam się jego własnością — mój aparat fotograficzny również wpadł w jego ręce. W ciągu całej naszej wyprawy przez pustynię podczas miesiąca miodowego mój pan i władca nie pozwolił mi nawet dotknąć mojego skarbu. To on stał się wtedy polawiaczem pustynnych dusz, a dusze, które łowił, należały najczęściej do pięknych sąsiadek.

Pewnego dnia pojechaliśmy wypożyczonym jeepem na skraj pustyni nad brzegiem Atlantyku. To było ponad tysiąc kilometrów od miasta, w którym mieszkaliśmy.

Pustynie są czarne, białe, czerwone i khaki. Lubię zwłaszcza pustynię czarną, gdyż jest taka dostojna; Josému podoba się pustynia biała. Mówi, że to finezyjna kraina śniegu w promieniach prażącego słońca.

Jadąc sobie powoli jeepem w południe, przemierzaliśmy niemal idealnie białą pustynię. Po jej drugiej stronie rozciągał się błękitny ocean. Nagle nie wiadomo skąd zjawiała się na niebie bladoczerwona chmura, która zaczęła powoli opadać na plażę. Nad brzegiem oceanu natychmiast rozpostarła się zorza zachodzącego słońca.

Zdumiona przyglądałam się temu dziwnemu zjawisku. Skąd w południe wzięły się barwy zmierzchu na niebie?

Przyjrzałam się jeszcze raz. Boże! Boże! Przecież to stado flamingów. Setki, tysiące flamingów stłoczone razem na plaży ze spuszczoneymi głowami jadły tam coś, nie wiem co.

Położyłam delikatnie rękę na aparacie fotograficznym Joségo.

— Daj mi — powiedziałam cicho. — Daj, zrobisz zdjęcie. Nic nie mów. Nie ruszaj się.

José był szybszy ode mnie i wcześniej przyłożył aparat do oka.

— Szybko, rób zdjęcie!

— Nie da rady. Za daleko. Podejdę.

— Nie podchodź. Spokojnie! — krzyczałam cicho do Joségo.

José nie czekał, aż znowu coś powiem. Zdjął buty i ostrożnie ruszył w kierunku zatoki, jakby chciał podstępnie zaatakować przybyłych z rajy gości. Nie zdążył nawet podejść, gdy ta czerwona chmura uniosła się ku niebu i tyle ją widzieliśmy.

Szkoda oczywiście, że nie udało się sfotografować flamingów, ale urok tej chwili na zawsze pozostanie na dnie mego serca i nigdy nie spłowieje.

Pewnego razu poszliśmy ze znajomym Sahrawi w odwiedzinę do namiotu. Tego dnia gospodarz z wielkim szacunkiem zabił kozę, aby nas ugościć.

Sposób spożywania kozy jest bardzo prosty. Kozę dzieli się na kilka kawałków, które potem ociekające krwią wstawia się na ogień i piecze. Na wpół upieczone, przekładane są do glinianego naczynia przypominającego umywalkę i posypywane solą, po czym wszyscy siadają dookoła i wspólnie jedzą.

Każdy bierze duży kawałek mięsa i gryzie. Po kilku gryzach odkłada mięso i wychodzi na zewnątrz napić się herbaty, pograć kamyczkami w warcaby, a godzinę później znowu woła się wszystkich, żeby zasiedli wokół tych kilkudziesięciu nadgryzionych kawałków. Każdy bierze pierwsze z brzegu mięso, nieważne, kto je wcześniej jadł, i ucza

trwa dalej. Jedzą tak i odkładają po kilka razy, aż cała koza zostanie obgryziona do gołych kości.

Poprosiłam Joségo, żeby mi zrobił zdjęcie, jak obgryzam kości, ale fotografia to nie film, więc nie wiedziałam, jak sfotografować takie zdanie: „Na gnacie, który obgryzam, znajduje się już być może ślina trzech lub więcej osób”.

Innego razu poszłam z Josém zobaczyć narodziny wielbłąda, bo słyszałam, że wielbłąd przy porodzie spada na ziemię. Brzmiało to bardzo interesująco, więc oczywiście wzięliśmy ze sobą aparat. Ale ten wielbłądzik zwlekał coś z przyjściem na świat. Czekałam i czekałam, aż w końcu poszłam pospacerować sobie po pustyni.

Wtedy to ujrzałam w oddali, jak Sahrawi, który zajmował się wielbłądami, uklęknął nagle (ale się nie modlił, tylko uklęknął), po czym znowu wstał. Gdy to zobaczyłam, przyszło mi na myśl bardzo ciekawe pytanie: skoro na pustyni nie ma papieru toaletowego, to co robią, jak się wypróżnią? Chociaż pytanie to nie było zbyt konstruktywne, mocno się nad nim zastanawiałam.

— José, jak oni to robią? — Podbiegłam do Joségo i spytałam.

— Ten, co teraz kucał i wstał, to sikał, a nie srał.

— Co? To są ludzie, którzy sikają na klęcząco?

— Można klęczeć albo kucać. Co ty, nie wiedziałaś o tym?

— Chcę, żebyś zrobił zdjęcie!

Za wszelką cenę chciałam uwiecznić to odkrycie.

— Podczas klęczenia wszystko okrywa toga. Na zdjęciu będzie widać jedynie klęczącą postać. Nic w tym ciekawego.

— Moim zdaniem to bardzo ciekawe. Gdzież indziej na świecie są ludzie, którzy sikają w taki dziwny sposób?

Naprawdę uważałam to za rzecz ciekawą.

— Czy to ma jakąś wartość artystyczną, San-mao?

Nie odpowiedziałam.

Najciekawsze ze wszystkich zdjęć przytrafiło się również na pustyni. Rozbiliśmy się obozem w miejscu niezbyt oddalonym od Al-Ujuni. Ktoś, widząc nasz namiot, wpadł do nas na pogawędkę. Był to bardzo młody, a przy tym bardzo przyjazny Sahrawi, i mówił po hiszpańsku. Powiedział nam, że pomagał kiedyś w prowadzonym przez zakonnicę ambulatorium na kółkach i od tamtej pory stał się człowiekiem „cywilizowanym”.

Chętnie pozwolił nam złapać swoją duszę. Grzecznie poprosił Joségo, żeby mógł się przebrać w jego ubrania do zdjęcia. Pożyczył też od Joségo zegarek i ostrożnie założył go sobie na rękę. Długo poprawiał sobie włosy, przyjął kompletnie nienaturalną dla siebie pozę; wyglądał jak podrabiany wieśniak z Europy.

— Czy to jest kolorowy aparat? — spytał grzecznie.

— Co? — zdumiałam się.

— Czy to jest kolorowy aparat? — spytał ponownie.

— Masz na myśli film? Nie ma przecież kolorowych i niekolorowych aparatów.

— Tak. Wcześniej zakonnice miały tylko czarno-białe, a ja wolę kolorowy.

— Masz na myśli kliszę czy aparat?

Przez niego sama już nie wiedziałam, co mam myśleć.

— Aparat. Jeśli nie rozumiesz, spytaj męża. On ma w ręce aparat, który chyba robi kolorowe zdjęcia.

Spojrzał na mnie z pogardą. Ach, te kobiety na niczym się nie znają.

— No jasne! Nie ruszaj się. Mam najlepszy na świecie aparat wykonujący zdjęcia w iście naturalnych kolorach.

José uniósł profesjonalnie aparat i sfotografował nadobnego młodzieńca, który uważał się za człowieka cywilizowanego, razem z jego strojem i pozą.

Widząc, jak José utwierdza człowieka w jego mylnym przekonaniu, śmiałam się tak, że aż musiałam schować głowę w piasek niczym struś.

Gdy ją podniosłam, zobaczyłam, że José kieruje obiektyw w moją stronę.

— Kolorowy aparat fotografuje nieskazitelnie białą duszę! — krzyczałam, zakrywając twarz. — Błagam, oszczędź mnie tym razem!

Sierżant Sebas

Pewnego wieczoru latem José i ja wyszliśmy właśnie z domu, żeby się przespacerować, gdyż na dworze zrobiło się nieco chłodniej. Po upiornie skwarным dniu pustynia była o tej porze taka orzeźwiająca i przyjemna.

Sąsiedzi Sahrawi, biorąc dzieci i jedzenie, również wychodzili wtedy na zewnątrz i jedli kolację na świeżym powietrzu. A noc była już ciemna.

Gdy doszliśmy do leżącego niemal poza miastem cmentarza, zobaczyliśmy w świetle księżyca, jak w oddali grupka młodych Sahrawi zebrała się wokół czegoś i przygląda się z zainteresowaniem. Przeciśniliśmy się przez zbiorowisko ludzi i zobaczyliśmy, że na ziemi leży bez ruchu hiszpański żołnierz, wyglądający na martwego. Miał jednak lśniąco czerwoną twarz i duży zarost. Na nogach miał oficerki. Wnioskując po jego mundurze, był to żołnierz z Korpusu Pustynnego, ale nie miał oznaczenia stopnia wojskowego.

Leżał już tam pewnie bardzo długo. Stojący wokół niego ludzie wykrzykiwali coś po arabsku, pluli na niego zawistnie, ściągali mu buty, deptali go po rękach, a jeden z Sahrawi nałożył sobie na głowę wojskową czapkę i niczym klaun zaczął udawać pijanego.

Sahrawi byli zuchwali i bezpardonowi wobec bezbronnego żołnierza.

— José, wróć szybko po samochód — powiedziałam cicho do Joségo, rozglądając się nerwowo dookoła.

Jakże ja wtedy pragnęłam, żeby przechodził w pobliżu jakiś inny żołnierz lub zwykły Hiszpan. Ale w okolicy nie było nikogo.

José pobiegł do domu po auto, a ja patrzyłam jak zakłęta na przywieszony u boku żołnierza pistolet. Jeśli ktoś wyjmie jego broń, będę krzyczeć, a potem nie wiem co.

W Saharze Hiszpańskiej zawiązał się już wtedy wśród młodzieży Ludowy Front Wyzwolenia Polisario z siedzibą główną w Algierii. Prawie każdy młody mieszkaniec miasta był mu przychylny. Stosunki

między Sahrawi a Hiszpanami stały się napięte, a Korpus Pustynny traktowano jak śmiertelnego wroga.

José przyjechał z prędkością błyskawicy. Rozsunęliśmy tłum, żeby zabrać tego pijanego gieroja do samochodu, a był z niego kawał chłopca; zaciągnięcie go do auta okazało się nie lada wyczynem. Złani doszczętnie potem usadziliśmy go na tylnym siedzeniu, po czym zamknęliśmy drzwi i przepaszając, powoli torowaliśmy sobie drogę przez ludzkie zbiorowisko; słyhać było niejedno uderzenie w dach auta.

Dojeżdżaliśmy do bramy Korpusu Pustynnego. José wciąż mknął jak burza. Wokół garnizonu zalegała martwa cisza.

— José, zamrugaj światłami, zatrąb. Nie znamy hasła. Może dojść do nieporozumienia. Zatrzymaj się trochę dalej.

José zatrzymał auto w sporej odległości od wartownika. Czym prędzej wyszliśmy z samochodu i krzyknęliśmy po hiszpańsku:

— Przywieźliśmy pijanego. Chodźcie tu!

Przybiegło dwóch wartowników, przeładowali broń i skierowali ją na nas. Wskazując rękami na samochód, nawet nie drgnęliśmy.

Wartownicy zajrzeli do auta. Oczywiście, że wiedzieli kto to. Weszli do samochodu i wyciągnęli go.

— To znowu on! — mówili.

Wtedy z wysokiego muru padło na nas światło reflektora. Wystraszyło mnie to nie na żarty. W mig wsiadłam z powrotem do auta.

Gdy José odjeżdżał, dwaj wartownicy zasalutowali nam, mówiąc:

— Dziękujemy wam, obywatele!

W drodze powrotnej wciąż jeszcze byłam przerażona. Nigdy w życiu nie mierzono do mnie z karabinu z tak niewielkiej odległości. Była to co prawda własna armia, ale i tak poczułam ogromny lęk. Jeszcze przez dobre kilka dni rozmyślałam o tym srogim garnizonie nocą i pijanym jak bela żołnierzu.

Niedługo potem odwiedzili nas koledzy Joségo z pracy. Żeby pokazać swoją gościnność, nalałam im cały dzban zimnego krowiego mleka, które od razu wlały w siebie jak w cysterny. Czym prędzej otworzyłam więc jeszcze dwa kartony.

— San-mao, a co będzie, jak wam wszystko wypijemy?

Żalonym wzrokiem patrzyli obaj na dzban mleka, zbyt zażenowani, by się napić więcej.

— Nie przejmujcie się! Nie macie tego na co dzień.

Na pustyni żywność była tematem, który interesował wszystkich. Osoby ugoszczone nie zadowalały się gościnną, ale pytały jeszcze, skąd pochodzą specjały, którymi ich poczęstowano.

Gdy koledzy Josęgo wypili całe świeże mleko z kartonu, jakie miałam, widząc, że wyraz twarzy mi się nie zmienił, spytali mnie, gdzie kupiłam to mleko.

— Ha! Mam swoje miejsce. — Z zadowoleniem trzymałam ich w niepewności.

— No powiedz nam gdzie.

— A! Nie możecie kupić. Jak chcecie się napić, musicie przyjść do mnie do domu.

— Ale my chcemy bardzo dużo. San-mao, proszę, powiedz nam!

— Kupuję w punkcie opieki społecznej Korpusu Pustynnego.

— W garnizonie? Chodzisz sama do garnizonu na zakupy?! — wrzasnęli, aż im szczęki poopadały.

— A to rodziny wojskowych niby tam nie kupują? To i ja polecałam.

— Ale ty nie spełniasz wymogów.

— Wojsko nie odróżnia mieszkańców pustyni od mieszkańców miasta — powiedziałam, chichocząc.

— A żołnierze są dla ciebie uprzejmi?

— I to jak uprzejmi. O wiele bardziej niż zwykli ludzie w mieście.

— Jeśli cię poprosimy, żebyś nam kupiła mleko, to nie będzie problemu?

— Nie będzie. Zróbcie mi jutro listę, kto ile kartonów chce.

Następnego dnia, gdy José wrócił z pracy, wręczył mi listę mleczną, na której widniały nazwiska ośmiu chłopów; każdy chciał, żeby mu dostarczyć dziesięć kartonów mleka na tydzień, w sumie osiemdziesiąt kartonów. Wzięłam listę, przygryzając wargi. No to sobie nabruździłam, ale skoro obiecałam, muszę teraz jechać do garnizonu po te osiemdziesiąt kartonów mleka. Po prostu brak słów. W takiej sytuacji lepiej będzie, jak się najem wstydu za jednym razem i kupię wszystkie osiemdziesiąt kartonów od razu niż każdego dnia po dziesięć.

Dzień później zjawiłam się w punkcie opieki społecznej i kupiłam wielkie opakowanie z dziesięcioma kartonami świeżego mleka. Postawiłam je w kącie, po czym ruszyłam kupić następne, które też postawiłam w kącie i po chwili ruszyłam kupić następne. Chodząc tam

i z powrotem, zrobiłam tak cztery rundy. Żołnierz za ladą był już kompletnie skonfundowany.

— Pani San-mao, jak długo zamierza pani jeszcze tak kursować?

— Jeszcze cztery razy. Cierpliwości.

— Czemu nie kupuje pani za jednym razem? Kupuje pani tylko mleko?

— Za jednym razem to wbrew zasadom. Za dużo — odpowiedziałam zażenowana.

— Nie szkodzi. Dam pani teraz. Ale po co kupuje pani tyle mleka?

— Ktoś mnie posłał, żebym kupiła. To nie wszystko dla mnie.

Gdy postawiłam już osiem dużych opakowań mleka w kącie jedno na drugim i poszłam zawołać taksówkę, tuż koło mnie przemknął, po czym zatrzymał się, jakiś jeep. Podniosłam głowę, spojrzałam i z przerażeniem zobaczyłam, że w aucie siedzi ten żołnierz, ten pijaczyna, którego kiedyś przywieźliśmy z powrotem do garnizonu.

Był to człowiek rośli i pełen energii. Mundur leżał na nim jak ulał, a gęsta broda zakrywała twarz, przez co nie można było ocenić, w jakim był wieku. Patrzył na ludzi nieco despotycznie i chyba z przesadnym skupieniem. Bluzę munduru rozpiętą miał aż do trzeciego guzika. Przystrzyżony był krótko, a na zielonej furażerce widniało oznaczenie stopnia wojskowego — sierżant.

Tamtej nocy nie przyjrzałam mu się uważnie, więc teraz zmierzylam go wzrokiem z góry na dół.

Nie czekał, aż się odezwę. Zeskoczył z auta i załadował na samochód opakowania, jedno po drugim. Widząc, że mleko jest już w aucie, nie zastanawiałam się dłużej i rozsiadłam się na przednim siedzeniu.

— Mieszkam w dzielnicy cmentarnej — powiedziałam grzecznie.

— Wiem, że pani tam mieszka — odpowiedział szorstko i ruszyliśmy.

Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa. Prowadził auto spokojnie i pewnie, mocno trzymając oburącz kierownicę. Gdy przejeżdżaliśmy obok cmentarza, odwróciłam głowę, podziwiając panoramę. Bałam się, że poczuje się zażenowany, jeśli przypomni sobie ten wieczór, kiedy to zabraliśmy go stąd nieprzytomnie pijanego.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, wolno wyhamował. Nie czekając, aż wysiądzie, wyskoczyłam szybko z jepra. Nie chciałam kłopotać sierżanta dźwiganie mleka, więc jak tylko wysiadłam, gromkim głosem

zawołałam Saluma — znajomego, który prowadził w pobliżu mały sklepik.

Salum, słysząc mnie, natychmiast wybiegł ze sklepu, kuśtykając w klapkach. Na twarzy jego widniał skromny uśmiech. Gdy dobiegł do jeepa, zobaczył, że stoi koło mnie żołnierz. Ukłonił się pośpiesznie, po czym zaraz schylił się, żeby zabrać mleko. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Sierżant, widząc, że Salum pomaga mi w sprawunkach, spojrział w kierunku jego sklepiku i natychmiast wbił we mnie swój pełen pogardy wzrok. Od razu wiedziałam, że źle to zrozumiał.

— To mleko nie jest na sprzedaż — broniłam się, czerwona ze wstydu. — Naprawdę! Proszę mi wierzyć, ja tylko...

Zamaszystym krokiem wsiał do auta. Położył dłonie na kierownicy i poklepał ją kilka razy. Nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, tylko uruchomił silnik.

Ocknęłam się wtedy i podbiegłam.

— Dziękuję, sierżancie! Z kim mam przyjemność?

Wlepił we mnie wzrok i z wymuszoną cierpliwością odpowiedział spokojnie:

— Dla osób przyjaźniących się z Sahrawi nie mam imienia.

Ledwie skończył, wcisnął pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu jak z procy.

Wpatrywałam się niemo w unoszący się kurz, czując w sercu niewysłowioną zadrę. Nie mogłam sobie tego wytłumaczyć, że pytając kogoś o imię, można się spotkać z tak nieuprzejmą odmową.

— Salum, znasz go? — obróciłam się i spytałam.

— Tak — odpowiedział cicho.

— Co ty się tak boisz Korpusu Pustynnego? Przecież nie jesteś rebeliantem.

— Nie. Ten sierżant nienawidzi nas, wszystkich Sahrawi.

— Skąd wiesz, że cię nienawidzi?

— Wszyscy to wiedzą, tylko ty nie wiesz.

Przyjrzałam się uważnie szczeremu Salumowi. Nigdy nie wyrażał opinii o innych. Skoro teraz to powiedział, na pewno miał ku temu powód.

Od tego nieporozumienia długo nie ośmieliłam się pójść na zakupy do garnizonu, bo było mi wstyd.

Upłynęło wiele czasu od tej chwili, kiedy spotkałam na ulicy żołnierza z punktu opieki społecznej. Powiedział mi, że w jednostce myśleli, że już wyjechałam. Spytał mnie też, czemu nie przychodzę więcej na zakupy. Słyszając, że nie doszło do żadnego nieporozumienia, z radością zaczęłam znowu tam chodzić.

Ale miałam pecha. Pierwszego dnia, gdy ponownie przyszedłam na zakupy do garnizonu, prężnym krokiem, w oficerkach, podszedł do mnie ten sierżant. Przygryzłam wargi ze zdenerwowania, a on ukłonił się i rzekł:

— Dzień dobry.

Po czym odszedł w stronę lady.

Kogoś, kto tak bardzo nie lubił Sahrawi, nie mogłam nazwać inaczej niż rasistą i nie zwracałam więcej na niego uwagi. Stojąc tuż obok niego, mówiłam sprzedawcy, co chcę kupić, i nawet się na niego nie obejrzałam.

Kiedy płaciłam, zauważyłam, że sierżant miał rękaw podwinięty do ramienia, a na ramieniu widniał wielki tatuaż. Pod banalnym ciemnoniebieskim serduszkiem dla zakochanych wytatuowany był średniej wielkości napis: Juan de Austria.

Dziwne, bo pod takim serduszkiem widniało zawsze imię kobiety i nie przyszłoby mi do głowy, że można tam umieścić imię mężczyzny.

— Ej! Kto to jest Juan de Austria? Co to znaczy? — spytałam wojskowego sprzedawcę za ladą, kiedy sierżant już sobie poszedł.

— A! Kiedyś Korpus Pustynny miał garnizon, co się tak nazywał.

— To to nie osoba?

— Kiedyś, za czasów Karola I, żył człowiek o tym imieniu. Wtedy Hiszpania i Austria były jeszcze jednym państwem. Potem Korpus postanowił nadać jednemu z garnizonów jego imię. To stara historia.

— Ale ten sierżant wytatuował to sobie na ramieniu!

Pokręciłam głową, wzięłam wydaną mi resztę i wyszłam z punktu opieki społecznej.

Jakież było moje zdziwienie, gdy się okazało, że sierżant czekał na mnie przy wejściu. Widząc mnie, ukłonił się i pomaszerował w ślad za mną.

— Dziękuję pani i pani mężowi za tamten wieczór.

— Ale za co? — spytałam, jakbym nie wiedziała, o co chodzi.

— Odwieźliście mnie państwo. Byłem... pijany.

— A! To już dawno temu było.

Co za dziwak, dziękuje mi za coś, o czym ja już zdążyłam zapomnieć. Czemu mi nie podziękował, gdy mnie ostatnio odwoził?

— A że tak spytam: dlaczego Sahrawi mówią, że ich pan nienawidzi? — spytałam bez ceregieli.

— Bo nienawidzę.

Wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. Bezpośredniość jego odpowiedzi była zdumiewająca.

— Na tym świecie są przecież ludzie dobrzy i źli. Nie ma żadnej nacji, która byłaby szczególnie zła — powiedziała naiwnie to, co każdy mógłby powiedzieć.

Sierżant rzucił okiem na grupę Sahrawi kucających wśród piasków pustyni. Na jego twarzy pojawiło się znowu to straszne skupienie. Zdawało się, że ta bezpodstawna nienawiść rozpala go do dzikości. Przerwałam swoją nudną paplaninę i spojrzałam na niego w milczeniu.

Po kilku sekundach ocknął się, uklonił głęboko i odmaszerował.

Ten wytatuowany sierżant nie powiedział mi jeszcze, jak się nazywa. Na ramieniu miał tatuaż z nazwą garnizonu, ale dlaczego garnizonu, który istniał dawno temu?

Pewnego dnia Ali, nasz znajomy Sahrawi, zaprosił nas na pustynię ponad sto kilometrów od miasta. Tam w namiocie mieszkał jego ojciec. Ali był taksówkarzem w mieście i tylko na weekend mógł wrócić do domu, żeby odwiedzić rodziców.

Miejsce, w którym mieszkali rodzice Alego, nazywa się Mehajres. Przed milionami lat być może płynęła tędy szeroka rzeka, która potem wyschła, tworząc po obu stronach urwiska przypominające wąwóz. W korycie rzeki rosło kilka palm kokosowych, a z niewielkiego źródła nieustannie płynęła woda. Była to maleńka oaza na pustyni. Na tak ogromnym obszarze zasobnym w tak dobrą wodę pitną mieszkało zaledwie kilka rodzin w namiotach. Zupełnie nie mogłam tego pojąć.

W chłodnym wietrze o zmierzchu siedzieliśmy z Alim i jego ojcem przed namiotem. Staruszek leniwie palił długą fajkę. Czerwone urwiska w zorzy zachodzącego słońca wyglądały nadzwyczaj okazałe. Na horyzoncie pojawiła się pierwsza samotna gwiazdka. Mama Alego przyniosła nam dużą miskę kuskusu i gęstą, słodką herbatę.

Ugniatałam z kuskusu szare kluseczki i wkładałam je do ust. Siedzenie na ziemi i zjadanie się potrawą ludzi pustyni na tle takiej scenerii to dopiero autentyczne przeżycie.

— Takie ładne miejsce. I woda tutaj jest. A jednak prawie nikt tu nie mieszka. Dlaczego? — spytałam staruszka zdziwiona.

— Kiedyś było tutaj tłoczno, dlatego miejsce to ma nazwę, a nazwa ta brzmi Mehajres. Pewnego razu wydarzyło się nieszczęście i ci, co tutaj niegdyś mieszkali, opuścili to miejsce, a nowi nie chcą się tutaj osiedlać. Tylko kilka rodzin wytrwało.

— Jakie nieszczęście? Czemu nic o tym nie wiem? Pomór wielbłądów? — dręczyłam staruszka pytaniami.

Spojrzał na mnie, zaciągnął się fajką i jakby nieobecny duchem, spojrzał w siną dal.

— Zabijali! Zabijali ludzi. Krew się lała tak, że wody z tego źródła nikt nawet pić nie śmiał.

— Kto zabijał kogo? O co poszło?

Musiałam się przysunąć do Josého, bo głos staruszka brzmiał tajemniczo i przerażająco. Szybko zapadała noc.

— Sahrawi zabijali żołnierzy Korpusu Pustynnego.

Staruszek spuścił głowę i spojrzał na mnie i na Josého.

— Szesnaście lat temu Mehajres to była piękna oaza. Nawet pszenica tutaj rosła. Kokosów i daktyli było w bród. Wody każdy mógł pić, ile tylko chciał. Niemal wszyscy Sahrawi zaganiali tu swoje wielbłądy i kozy na wypas. A namiotów rozbijano bez liku...

Gdy staruszek opowiadał o czasach minionej świetności, przyglądałam się kilku mizernym palmom kokosowym, które się ostały. Trudno było uwierzyć, że ta jałowa połać miała kiedyś swój złoty okres.

— Potem zjawił się hiszpański Korpus Pustynny. Żołnierze rozbili tu swoje namioty i nie zamierzali odchodzić... — mówił dalej staruszek.

— Ale wtedy pustynia nie należała przecież do nikogo. Zgodnie z prawem każdy mógł się tu osiedlać — wtrąciłam.

— Tak, tak. Pozwól, że dokończę... — Staruszek wykonał gest ręką.

— Kiedy zjawił się Korpus Pustynny, Sahrawi nie dopuszczali żołnierzy do wody. Często więc dochodziło do starć na tym tle, aż w końcu...

Tutaj staruszek zamilkł.

— Aż w końcu co? — spytałam zniecierpliwiona.

— Aż w końcu duża grupa Sahrawi zakradła się nocą do obozu i zabito żołnierzy Korpusu Pustynnego podczas snu. Nożami.

Otworzyłam szeroko oczy, wpatrując się w staruszka siedzącego po przeciwnej stronie ogniska.

— Zabito wszystkich? — spytałam cicho. — Co do jednego? Sahrawi nożami wybili w pień cały obóz?

— Przeżył jeden sierżant. Upił się owej nocy i leżał poza obozowiskiem. Kiedy się obudził, wszyscy jego kamraci nie żyli. Ani jeden się nie ostał.

— Mieszkał pan wtedy tutaj?

O mały włos nie spytałam go, czy brał udział w tej masakrze.

— Przecież Korpus Pustynny to najczujniejszy oddział. Jak to możliwe? — odezwał się José.

— Nie przewidzieli tego. Za dnia biegali jak najęci, wartownie nie były dobrze obstawione. Nie przyszło im do głowy, że Sahrawi rzucają się na nich z nożami.

— Gdzie wtedy stał ich obóz? — spytałam staruszka.

— O, tam! — odpowiedział, wskazując ręką miejsce powyżej źródła. Oprócz piachu nie było tam niczego, żadnego śladu ludzkiej bytności.

— Od tamtej pory nikt nie chce tu mieszkać. Ci, którzy zabijali, oczywiście uciekli. Tyle zostało z takiej pięknej oazy.

Staruszek schylił głowę i dalej palił fajkę. Niebo pociemniało i zerwał się nagle porywisty wiatr. Zawodząc płacząco, kołysały się palmy, a słupki namiotów zaczęły wydawać skrzypliwie pojękiwania.

Uniosłam głowę i spojrzałam na to odległe miejsce pograżone teraz w ciemnościach, gdzie szesnaście lat temu obozował Korpus Pustynny. Zdawało mi się, że widzę grupki żołnierzy w hiszpańskich mundurach, siłujących się z Sahrawi, którzy obejmując ich za głowy, dźgali nożami. Żołnierze padali od ciosu nożem jeden po drugim, powoli jak na srebrnym ekranie. Mrowie krwawiących ludzi czołgało się po piachu, tysiące bezradnych rąk wznosiło się ku niebu. Raz po raz słychać było krzyk wydobywający się z zakrwawionej twarzy. Czarny wiatr nocy roznosił tylko pusty i martwy śmiech po tej osamotnionej ziemi.

Przeraziłam się. Zamrugałam gwałtownie. Nagle nie widziałam już nic. Wokół panowała absolutna ciemność. Siedzieliśmy przy ognisku. Nikt się nie odzywał. Poczułam, że jest mi zimno. Byłam

przygnębiona. To nie było zwykłe, jak to starszek określił, nieszczęście — ale krwią ociekająca rzeź.

— A ten sierżant, który przeżył, to jest ten, co ma tatuaż na ramieniu i co zawsze wilczym wzrokiem patrzy na Sahrawi? — spytałam spokojnie.

— To był bardzo zżyty oddział. Pamiętam, jak ten sierżant po przebudzeniu miotał się i telepał na ciałach poległych braci niczym opętany.

Przypomniałam sobie wtedy nazwę obozu wytatuowaną na jego ramieniu.

— A wie pan, jak on się nazywał? — spytałam.

— Po tym wszystkim dołączył do garnizonu w mieście. Od tamtej pory nie chce podawać swego imienia. Mówi, że skoro wszyscy jego bracia z obozu zginęli, to po co mu imię. Ludzie nazywają go po prostu sierżantem.

Tak dawno temu się to wszystko zdarzyło, a jednak włos się ze strachu jeży. Odległa pustynia zdaje się wirować.

— Chodźmy spać. Ciemno już — powiedział José głośno i dobitnie, po czym bez słowa wsunął się do namiotu.

O tej historycznej już tragedii prawie nikt w mieście nie wspomina. Za każdym razem, gdy widzę tego sierżanta, serce zaczyna mi bić szybciej z przerażenia. Kiedyż w jego pamięci zblednie w końcu to okrutnie wspomnienie?

Rok temu o tej porze na tym zapomnianym przez świat skrawku pustyni sprawy zaczęły się komplikować. Maroko na północy i Mauretania na południu zamierzały podzielić między siebie Saharę Hiszpańską, żyjące na pustyni plemiona uformowały własne oddziały rebelianckie na emigracji w Algierii, domagając się niepodległości, a rząd hiszpański nie potrafił podjąć w tej sprawie ostatecznej decyzji — przyjął dwuznaczne stanowisko i nie wiadomo, czy porzuci, czy zatrzyma tę ziemię, na której już tyle krwi przelano.

Oddział piechoty hiszpańskiej, który wyruszył samodzielnie z koszar, został rozgromiony. Wodę w studni głębinowej ktoś zatrzał, w szkolnym autobusie znaleziono bombę zegarową, taśmociąg w kopalni fosforytów podpalono, a robotników nocnej zmiany powieszono na kablu elektrycznym, na drodze krajowej przechodzącej obok miasta samochody wylatywały w powietrze na minach...

Nieustanne zamieszki siały grozę wśród mieszkańców miasta. Władze natychmiast zamknęły szkołę, a dzieci wróciły do Hiszpanii. W nocy zarządzono godzinę policyjną, do miasta wjechały czołgi, a drut kolczasty otoczył instytucje wojskowe.

Straszne było to, że Hiszpania miała nieprzyjaciół na każdej z trzech granic i nikt nie wiedział, kto stoi za tymi atakami.

Z tego też względu kobiety i dzieci natychmiast wróciły do Hiszpanii. José i ja nie mieliśmy zobowiązań, więc nie podejmowaliśmy żadnych kroków. José chodził jak zwykle do pracy, a ja zostawałam w domu. Wychodziłam na zakupy i na pocztę, a poza tym raczej nie opuszczałam domu z obawy przed zamachami.

W spokojnym dotychczas mieście ludzie zaczęli odsprzedawać meble. Przed wejściem do siedziby linii lotniczych ustawiały się co dzień długie kolejki po bilety. Kino i sklepy zostały zamknięte. Urzędnikom hiszpańskim, którzy zostali, wydano broń palną. Atmosfera była napięta. W miasteczku, w którym nie doszło jeszcze do żadnego otwartego ataku, zapanowała już panika.

Pewnego popołudnia poszłam do miasta kupić aktualną hiszpańską gazetę, bo chciałam się dowiedzieć, co właściwie rząd hiszpański zamierza zrobić z tym kawałkiem ziemi. W gazecie nie było o tym ani słowa, codziennie pisano to samo. Wracałam znużona pieszo do domu. Po drodze widziałam wiele trumien na samochodach wojskowych jadących w kierunku cmentarza. Przeraziłam się, myśląc, że zaczęły się już walki na granicy z Marokiem.

Idąc do domu, musiałam oczywiście przejść przez cmentarz. Sahrawi mieli dwa duże cmentarze. Cmentarz publiczny Korpusu Pustynnego otoczony był śnieżnobiałym murem z ozdobną czarną żelazną bramą. W obrębie muru stały w rzędach krzyże, a pod każdym krzyżem leżał przykryty kamienną płytą grób.

Gdy przechodziłam obok cmentarza publicznego, żelazna brama była otwarta, a groby w pierwszym rzędzie rozkopane. Liczne grupy żołnierzy Korpusu Pustynnego wyciągały ciała martwych kolegów i wkładały je potem do nowych trumien.

Widząc, co się dzieje, od razu zrozumiałam. Rząd Hiszpanii zwleka z ogłoszeniem swojej decyzji. Żołnierze Korpusu Pustynnego żyją na pustyni, a kiedy umrą, chowani są również na pustyni. Teraz żywi

wygrzebują zmarłych, żeby ich zabrać ze sobą, a więc Hiszpania jednak porzuca tę ziemię.

Przerażające jest to, że trupy, które przeleżały w ziemi tyle lat, po wyciągnięciu z tego suchego piachu nie są stertami białych kości, ale wyschniętymi jak mumie ciałami nieboszczyków.

Żołnierze ostrożnie wyciągali zmarłych i w ostrym słońcu wkładali je delikatnie do nowych trumien. Trumny zbijali gwoździami, naklejali kartki, po czym przenosili na samochód.

Żeby można było wynieść trumny, tłum gapiów musiał się rozstać. Przepisnęłam się wtedy do cmentarza publicznego, gdzie zauważyłam, że ten bezimienny sierżant siedzi w cieniu pod ścianą.

Widok zwłok nie wadził mi, tylko odgłos uderzanych młotkiem gwoździ wbijał się w uszy. Kiedy zobaczyłam sierżanta, przypomniało mi się, że owej nocy, gdy natknęłam się na niego pijanego, było to właśnie w pobliżu tego cmentarza. Tyle lat minęło już od tamtej tragedii, czyżby czas nie zaleczył mu tej rany?

Gdy podnoszono płytę grobu w trzecim rzędzie, sierżant, jak gdyby długo na to czekał, podniósł się i energicznym krokiem ruszył w jego stronę. Zeskoczył do grobu. Chwycił nierozłożonego trupa oburącz jak kochaną osobę i trzymając go delikatnie na rękach, patrzył w wysuszoną twarz. Po sierżancie nie było widać gniewu ani nienawiści. Dostrzegłam tylko czułość i rozpacz.

Wszyscy czekali, aż złoży ciało do trumny, ale on stał tylko w piekącym słońcu, jakby zapomniał o bożym świecie.

— To jego młodszy brat, zabity wtedy razem ze wszystkimi — powiedział spokojnie jeden żołnierz drugiemu, trzymającemu kilof.

Minął chyba cały wiek, zanim sierżant pomaszerował w stronę trumny i zmarłego szesnaście lat temu brata położył niczym niemowlę delikatnie do kołyski na sen wieczny.

Gdy przechodził przez bramę, odwróciłam wzrok. Nie chciałam, żeby sobie pomyślał, że jestem tylko ciekawską babą bez serca. Gdy przechodził przez tłum gapiów Sahrawi, zatrzymał się nagle, a wtedy Sahrawi, biorąc dzieci za ręce, rozbiegli się momentalnie.

Rzędy trumien odwieziono na lotnisko, cała pochowana w ziemi brać została wywieziona, a w ziemi zostały tylko nienaruszone krzyże, które w promieniach słońca lśniły osłepiającym białym blaskiem.

Pewnego ranka José szedł wcześniej do pracy. Musiał wyjść z domu o wpół do szóstej. Sytuacja była już wtedy dramatyczna, a więc potrzebny mi był tego dnia samochód, żebym mogła załadować kilka paczek do wysłania. Umówiliśmy się, że José pojedzie do pracy autobusem, a samochód mi zostawi. Rano odwiozłam jednak Joségo do miejsca, gdzie mógł złapać autobus.

W drodze powrotnej, obawiając się min, nie ważyłam się jechać na skróty — jechałam tylko drogami asfaltowymi. Wjeżdżając do miasta, zauważyłam, że wskazówka poziomu paliwa pokazuje zero, chciałam więc pojechać na stację benzynową, ale popatrzyłam na zegarek — była dopiero za dziesięć szósta, stacja benzynowa nie była jeszcze otwarta, skręciłam więc w stronę domu. Wtedy to na drodze w niedużej odległości ode mnie rozległ się huk przeraźliwego wybuchu, po czym chmura czarnego dymu uniosła się ku niebu. Byłam bardzo blisko i chociaż siedziałam w aucie, serce zaczęło mi walić z przerażenia jak młot. Szybko ruszyłam w stronę domu; słyszałam pędzące na sygnale karetki.

* * *

— Słyszałaś wybuch? — spytał José, kiedy wrócił z pracy.

Skinęłam głową.

— Są ranni? — spytałam.

— Nie żyje ten sierżant — powiedział natychmiast José.

— Ten z Korpusu Pustynnego? — Wiedziałam oczywiście, że nie ma innego. — Jak umarł?

— Rano przejeżdżał samochodem w miejscu wybuchu. Grupka dzieci Sahrawi bawiła się jakimś kartonem. W pudełku zatknięta była flaga rebeliantów. Sierżant pewnie pomyślał sobie, że coś nie gra z tym kartonem. Wysiadł z auta i podbiegł do dzieci, żeby je rozegnać, a wtedy jedno z nich pociągnęło za flagę i karton nagle eksplodował...

— Ile dzieci Sahrawi zginęło?

— Sierżant rzucił się ciałem na karton i rozerwało go na strzępy. Tylko dwoje dzieci odniosło rany.

Odruchowo wzięłam się za przyrządzanie Josému obiadu, ale nie mogłam przestać myśleć o tym porannym zdarzeniu. Ktoś, kogo nienawisć zżerała przez szesnaście lat, w krytycznym momencie poświęcił własne życie, ratując od śmierci kilkoro dzieci Sahrawi, a przecież

od zawsze uważał Sahrawi za wrogów. Dlaczego? Nigdy bym nie przypuszczała, że może w taki sposób zginąć.

Następnego dnia włożono ciało sierżanta do trumny i spokojnie pochowano w grobie na cmentarzu publicznym. Jego bracia już opuścili to miejsce i odpoczywają wiecznie w innej ziemi, ale on nie zdążył i został pochowany na Saharze. Ta ziemia, którą kochał i której nienawidził, stała się jego domem na wieki.

Nagrobek zrobiono mu bardzo prosty. Dużo czasu upłynęło, zanim poszłam go zobaczyć. Na nagrobku napisane było:

SEBAS SÁNCHEZ TORO, 1931–1975.

Wracając do domu, widziałam dzieci Sahrawi, jak uderzając rękami w śmietnik, śpiewały rytmiczną piosenkę. W świetle zachodzącego słońca świat wydawał się taki spokojny, jakby nikt nie wiedział, że zbliża się wojna.